

Zmarli przychodzą się pożegnać

15 sierpnia 2014

Data publikacji: 06.06.2007

ZNAKI

Zawsze uważałam, że mam zdolności paranormalne i one poważnie pomagały mi w życiu. W ciągu ostatnich wielu miesięcy również otrzymywałam pewne odpowiedzi, ale są to sprawy zbyt osobiste, o których nie chcę pisać. Widziałam przyszłe wydarzenie, niestety, nie posłuchałam się wyraźnie wypowiedzanego zdania. I bardzo źle na tym wyszłam. Ostrzeżenie się sprawdziło. Było tak wyraźnie i wielokrotnie wypowiedzane, wręcz co sekundę.

Jako pisarz potrafię sobie wyobrazić, co tylko zechcę. Jestem również świadoma różnicy pomiędzy rzeczami, jakie widzę. Rzeczy wyobrażone są wyraźne, ale powstają stosunkowo powoli i sekwencyjnie. Mogę również dopracować szczegóły lub wręcz je zmienić. Inaczej jest z obrazami, które przychodzą stamtąd. Nie wiem skąd. Przychodzą do mnie same, bez mojego udziału. Pojawiają się tak, jak na filmach mówiących o przeczuciach. Obraz błyskawicznie wyłania się z jakiejś ciemności. Najczęściej przybywa od prawej strony. Rzecz jest jak szybkie zwierzę, wskakuje jednym susem. Widzę ją od razu w całości, choć bez szczegółów. Jest. I nigdy się nie myli.

Więc te ostatnie ostrzeżenia, które przychodziły w ciągu ostatnich miesięcy, mogły mi pomóc w zakończeniu pewnej sprawy. Byłam jednak tak zaaferowana jej przebiegiem i tak skoncentrowana na działaniu, że nie reagowałam, mimo że wyraźnie do mnie mówiono. Widziałam ostrzegawczy obraz trzy dni wcześniej i niestety, nie wyciągnęłam z wizji żadnego wniosku. Bawiłam się myślą. Dzieje się tak również dlatego, że mam wciąż zajęty umysł myśleniem i rozważam jakieś sprawy. Lewa półkula mózgu pracuje nieustannie na pełnych obrotach.

Ale często i z jej powodu dzieją się dziwne rzeczy.

TAJEMNICZY ZBIEG OKOLICZNOŚCI

Pisałam wtedy swoją książkę „Genetyka bogów”. Rozwazałam różnice pomiędzy działaniem prawej i lewej półkuli mózgu. Pewne teorie, które się wysnuwały, uznałam za zbyt odważne. I borykałam się ze swoimi myślami, prawdę mówiąc. Mówiłam sobie – „Nie, to jest zbyt szalone, nikt tego nie przyjmie za prawdę”. A z drugiej strony wszystko się zgadzało, tylko należało inaczej myśleć. I nagle otrzymałam e-mail od profesora uczelni z Wielkiej Brytanii. Nigdy o nim nie słyszałam. Napisał, że od lat bada naukowo historię świata pod kątem wpływu działania półkul umysłu. Jego teoria była jeszcze bardziej szalona. Przysłał mi od razu swoją książkę w e-mailu. Sięgnęłam teraz do szuflady i znalazłam kompakt z tekstem tej książki. Przejrzałam ją dość pobieżnie z powodu objętości. Pierwsza część miała 20 rozdziałów, druga nie była cieńsza. I mnóstwo przypisów, przywoływania naukowych dzieł, tytuły, nazwiska profesorów. I jeszcze ten naukowy żargon! Trzeba byłoby poświęcić wiele tygodni, by tylko przeczytać, a mnie pociągało pisanie własnej książki.

Okazało się, że przytacza fakty historyczne, daty i nazwiska. Wiele z nich znamy, ale ich uzasadnienie jest zupełnie inne. A jest nim na przykład układ stosunków społecznych albo też wzrost idei wolnościowych, czy też kolejne odkrycie geograficzne i jego wpływ na gospodarkę kraju. On tymczasem pokazywał zupełnie coś innego. Walkę lewej i prawej półkuli umysłu w odniesieniu do całej ludzkości. Czasami przeważa jedna część, ale tylko po to, by zrównoważyć się poprzez wzmocnienie przeciwnej. Poczułam się więc uprawniona do napisania mojego zdania we własnej książce, mając tak solidne naukowe wsparcie w postaci dzieła uczonego. Ale było dziwne, że otrzymałam odpowiedź i to właśnie wtedy, kiedy była bardzo potrzebna. Zastanawiałam się, jak rozwiązać własny problem, obawiając się, że moja teoria nie ma nic wspólnego ani z nauką ani też z rozsądkiem. I otrzymałam szokujące rozwiązanie.

Przyjmijmy więc, że cała ludzkość jest jednym gigantycznym mózgiem. Nasze poszczególne mózgi są niby pojedyncze komórki. My jesteśmy pewni, że mamy mózgi niezależne. Każdy przecież ma głowę osobną i własną, a jego mózg jest zamknięty w solidnej puszcze zbudowanej z twardej kości. I jesteśmy pewni, że nie ma połączenia z mózgiem innego człowieka. Co więcej, jesteśmy pewni, że nasze procesy myślowe przebiegają niezależnie od myślenia innego człowieka. Jesteśmy dumni z autonomii własnego myślenia i wiele walk stoczono właśnie o tę wolność myślenia. A tymczasem wysnuwa się tu heretyckie i dziwaczne teorie.

No cóż, jesteśmy pewni swej niezależności myślenia, bo nie widzimy oczami wypływających z czaszki fal mózgowych. Kiedyś prądu elektrycznego również nie mogliśmy zbadać fizycznie, a on istniał. Ślady krwi były wżarte w dywan czy cegłę, morderca wyszorował je szczotką. Jeszcze niedawno uszedłby karze. A teraz wystarczy zaświecić pewnego rodzaju światło i krew staje się niebieska i świeci oskarżycielsko na wyszorowanym dywanie i na murze. Zbrodniarze mocno trzymali narzędzie mordu, potem porzucali je, uciekając. I młotek leżał, niemy i głupi, bo my byliśmy mądrzy i spostrzegawczy. „Żadnych śladów” – konstatował konstabl, jeżeli możemy sobie pożartować z Sherlocka. Potem pewien człowiek zaczął nękać mądrą policję jakimiś bredniami, odciskami palców, państwo rozumieją, jakieś linijki na skórze, i to niepowtarzalne, jedyne dla każdego człowieka.

Tak to jest, nowe teorie muszą się przebić przez mur. A tym murem jest nasz sposób myślenia. Mogą runąć imperia, zawalić się miasta, a ludzie nie zmieniają przekonań. Nasze myślenie jest trwalsze niż cesarstwa. Gdyby więc można było zobaczyć promienie wypływające z czaszki, mielibyśmy niezbity dowód, że myśl jest energią. Póki tego nie zobaczymy, będziemy ulegać urojeniom o autonomii myślenia. Jeżeli więc część ludzkości wysyła energię z lewej półkuli, a inna część wyrzuca z siebie strumień z prawej półkuli, cała ludzkość ma charakter myślącego mózgu. I tu zatrzymam się w rozważaniach, by

pozwolić P. T. Czytelnikom pomyśleć samodzielnie i napisać dalszy ciąg, z którym się chętnie zapoznam. Cenię sobie zdania również i tych, którzy nie widzą w moich rozważaniach sensu i głośno to przyznają. Czują się nabrani, myślą krytycznie. Niech rozwijają swój krytycyzm i niezgodę na pewne idee, a wyrosną z nich wielcy myśliciele.

Oprócz tego świata wielkiego umysłu, który przysyła z ciemności ostrzeżenia i daje odpowiedzi, istnieje gdzieś jeszcze, a może w tym samym miejscu, jeśli to jest miejsce, niezgłębiona czarna przestrzeń, gdzie odchodzą umarli. Ale przedtem przychodzą do mnie.

„ZBUDŹCIE SIĘ, ZBUDŹCIE, ODCHODZĘ, ODCHODZĘ”

Na parterze domu mieszkała starsza kobieta. Często widywałam ją stojącą w oknie, jak jadła z metalowego kubeczka i przyglądała mi się, gdy przechodziłam obok. Nosiła białą chustkę zawiązaną do góry i kaftan z flaneli zapinany na rząd guzików i do tego białą, szeroką spódnicę, jakie nosiły kiedyś chłopki. Przestałam ją widywać, ale nie zwróciłam na to uwagi, byłam zajęta, studiowałam. Pewnej nocy obudziłam się, wiedziałam, że leżę w łóżku, a jednocześnie stoję na korytarzu przed drzwiami i stoję również za drzwiami, na klatce schodowej. Ta kobieta wchodziła po schodach. Był to szczególnie powolny ruch, jakby przelewała się na następny stopień, do nowej formy. Była ubrana w swoją białą chustkę, kaftan z flaneli pod szyję i taką samą szeroką spódnicę.

Uderzyła kilkakrotnie pięściami w moje drzwi, a ja stałam patrząc. Odwróciła się w prawo i uderzyła kilkakrotnie pięściami w drzwi sąsiadów, jakby chciała powiedzieć: „Zbudźcie się, zbudźcie, odchodzę, odchodzę.”

Potem takim samym przelewającym się, powolnym ruchem zaczęła wstępować po schodach na wyższe piętra, do sąsiadów, którzy tam mieszkali, by ich również pożegnać. Znikła za załomem ściany. Kiedy umarła moja matka, stała przez dwie doby obok

drzwi wiszących na tle czarnej nocy. Opierała się łokciem o framugę, stojąc obok drzwi, i wciąż na mnie patrzyła z wyrazem smutku i rezygnacji w oczach. Stała tak i patrząc się z góry nieco, wciąż stawała się coraz młodsza. Wciąż się budziłam w nocy i widziałam ją, jak stoi i patrzy. Nagle, o godzinie 1.23 odwróciła się, zaczęła iść w górę, w ciemność, obok drzwi, a nie przez nie. Szła przelewającym się z formy do formy ruchem. I zniknęła oddalając się, wtapiając w czerń.

Zmarła 18 kwietnia, a 15 obchodziła urodziny. W tym roku byłam bardzo zajęta i nie poszłam w rocznicę, by postawić świeże kwiaty na jej grobie. Wciąż o tym myślałam i bardzo się dręczyłam tym zaniedbaniem.

W nocy z 18 na 19 kwietnia miałam sen. Schodziłam po wąskich schodach do małego ciemnego pomieszczenia. Na ścianach wisiały fotografie. „0, to ja – powiedziałam. – I tu też i tu.” Na szarych, niewyraźnych zdjęciach widziałam siebie jako dziecko z matką, ale to były tylko kształty. Wiedziałam, że ja jestem na nich z matką, ale nie można było rozpoznać osób. Upadłam na kolana i zaczęłam gorzko płakać. Wtedy w drzwiach na ścianie, które powstały jakby z fotografii, ukazała się moja matka. Rozpoznałam ją psychicznie, a nie fizycznie. Zrobiła gest oznaczający „Odejdź, nie zależy mi na tym” i odwróciła się, by odejść w charakterystyczny dla zjaw przelewający się sposób. Mówiono, że jeden z sąsiadów choruje na raka. Trudno mi było w to uwierzyć, był taki żywy. Pamiętam, rozmawiałam z jego żoną tuż przed ich klatką schodową, widziałam zarys jego sylwetki na pierwszym piętrze. Siedział przy komputerze i pisał o duszy zwierząt. Potem spotkałam tego pana wraz z żoną na przystanku, gdy kupowałam rano gazetę. „A dokąd tak wcześnie państwo się wybierają?” Jechali do Akademii Medycznej. Czekala go operacja przeszczepu szpiku kostnego. Wykrzywił górną wargę w charakterystycznym dziwnym i bolesnym uśmiechu. Patrzył ponad moją głowę, uśmiechając się podniesieniem wargi, z zaciśniętymi zębami.

Przez następne dni było jakoś czarno i gęsto. Telefonowałam do

jego żony, nie wiedziałam, co powiedzieć. „Jak się czuje mąż?” „Śpi ciągle.” Czułam ten czarny gęsty sen.

I po kilku dniach nagle go zobaczyłam. Weszłam na naszą ulicę. Jest krótka, ma zaledwie kilkanaście numerów. Unosił się ponad jezdnią, mniej więcej na wysokości pierwszego piętra. Miał na sobie czarny płaszcz, nałożony – jak widziałam – na gołą skórę. W rozcięciu kołnierza nie było żadnej bielizny. Widocznie narzucił na siebie cokolwiek. Był luty. Unosił się jakby skośnie, jak przewrócony. Płynął ponad ulicą i strasznie płakał. Jakże okropna i gorzka była ta jego rozpacz. Płakał z zaciśniętymi zębami, unosząc górną wargę.

Właśnie minęłam klatkę schodową, gdzie mieszkał. Na drzewie była przymocowana pinezkami klepsydra. Na pierwszym piętrze w jego pokoju światło było zgaszone. Jego sylwetka nie dopłynęła do tego miejsca. Zatrzymała się dwie klatki dalej, wciąż płakał. Tak bardzo było mu żal życia. Potem zaczęły go zasypywać belki, jakby szklane, ale czarne. Przez następne dni widać go było coraz mniej pod tymi narzucanymi na niego belkami. Wreszcie, trzeciego dnia, widziałam tylko trójkątny kawałek twarzy i prawe oko. Wciąż się przyglądał, ciągle się zęgnął z życiem na tej ulicy.

I jeszcze mój przyjaciel. Był to jeden z tych, którzy bywali w moim domu i przeprowadzali dyskusje o UFO. Człowiek ogromnie inteligentny i wykształcony. Zawsze miał nowe ciekawe książki i wyszukiwał pasjonujące artykuły z czasopism. Zawsze wiele mówił i głośno się śmiał. Jego śmiech dudnił w słuchawce telefonicznej, gdy rozmawialiśmy długo o nowościach naukowych.

Nagle zaczął chudnąć, opadał z ciała. Utracił ogromną nadwagę i nikt się tym nie martwił. Czasami mówił, że się źle czuje. Rozmawialiśmy szczególnie często przez telefon. Nawet codziennie, ale nie miałam przeczuć. Tylko wciąż chciałam w z nim rozmawiać.

Tego wieczoru powróciłam późno. Uznałam, że muszę jednak do

niego zatelefonować. Nie wypadało tak późno dzwonić do cudzego domu, gdyż to było niezgodne z zasadami dobrego wychowania. Zatelefonowałam jednak. „Wyszedł z psem” – odpowiedziała jego żona. Było już po 22.

„Muszę zatelefonować – powiedziałam do siebie – bo on mi umrze.” Rozmawiałam z nim dopiero po godzinie 23. Rozmawialiśmy długo, żartowaliśmy i jak zwykle zaskakiwał mnie nowinkami naukowymi. Jego umysł wciąż pracował. Zmarł tej nocy.

Zatelefonowała jego żona z tą wiadomością. „Wiem” – odparłam. Płakała. Powiedziałam jej, że gdy się zbudziłam wczesnym rankiem, widziałam go jak siedzi w fotelu. Był znowu gruby. Na nosie miał krople potu. Siedział z rozstawionymi kolanami, brzuch mu zwisał. Odziewało go jakieś jasne letnie ubranie, kolorowa koszula, całkowicie niestosowna dla starszego, otyłego pana i plażowe szorty. I śmiał się, śmiał się z całego serca, które nagle mu odmówiło posłuszeństwa. Jakby zrobił nam dowcip.

Opisałam tę scenę jego żonie. Przestała płakać. Może znalazł tam odpowiedzi, na pytania, które tak nas zajmowały. Może mi odpowie, jeśli go zapytam. A wtedy o tym napiszę.

Autor: Emma Popik

Źródło: [Infra](#)